

**DRAGO  
JANČAR**

**OCZY ŁUCJI**

przekład **Joanna Pomorska**

Tytuł oryginału: *Lucijine oči*

Wydanie polskie na podstawie: *Pogled angela*, Založba Mihelač 1992; *Prikazen iz Rovenske*, Cankarjeva založba 1998; *Človek, ki je pogledal v tolmun*, Mladinska knjiga 2004.

Wydawca

**Božena Kućmierowska**

Redakcja merytoryczna i korekty

**Magdalena Petryńska**

Redakcja techniczna

**Danuta Przymanowska-Boniuk**

Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie typograficzne

**Janusz Fajto**

Prevod je izšel s podpora  
Javne agencije za knjigo  
Republike Slovenije



Przekład książki

został dofinansowany  
przez Słoweńską Agencję Książki

Copyright © Drago Jančar, 2023

Copyright for the Polish translation by Joanna Pomorska

Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Akademickie SEDNO Warszawa  
Warszawa 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Kopowanie, przedrukowywanie i rozpowszechnianie w całości lub we fragmentach  
jakażkolwiek techniką bez pisemnej zgody wydawcy zabronione

ISBN 978-83-7963-137-7

ISBN 978-83-7963-140-7 (e-book)

Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.

00-696 Warszawa

ul. J. Pankiewicza 3

[www.wydawnictwosedno.pl](http://www.wydawnictwosedno.pl)

[info@wydawnictwosedno.pl](mailto:info@wydawnictwosedno.pl)

## Oczy Łucji

Radio podaje informację, że na obwodnicy Lublany żółty samochód osobowy jedzie pod prąd, wszyscy kierowcy proszeni są o zachowanie szczególnej ostrożności, patrol policji próbuje zatrzymać auto.

W trawie nad rzeką leży kobieta. Przekręca gałkę tranzystora, chce, żeby słyszał wyciągnięty obok mężczyzna.

– Słyszałeś? – pyta.

– Aha – przytakuje, jeszcze nie zdążył zapaść w popołudniową drzemkę – znów jakiś szaleniec.

Niespodziewanie z tranzystora rozlega się głośnie muzyka, jego ręka ze złotą bransoletką błyskawicznie chwytą pokrętło, mężczyzna najpierw ścisza muzykę, potem wyłącza odbiornik, zamyka oczy, zaczyna miarowo oddychać, zasypia. Ona też zamyka oczy. Tu, nad wodą, znowu jest cicho, ale tam, daleko, w upalne popołudnie sunie sznur samochodów, a jej wewnętrzne oczy widzą szeroką rzekę aut ściskającą jak obręcz miasto, ktoś popłynął pod prąd, ktoś pomylił wjazd na autostradę, ruszył naprzeciw okalającemu Lublanę nurtowi pędzących, hałaśliwych pojazdów. Tu płynie tylko rzeka, powoli, leniwie toczy swoje zielone wody, rozżarzone oko na niebie podąża ku wieczornej połowie dnia, nadbrzeżna zieleń blaknie w jasnych promieniach słońca. Leżą w trawie, na brzegu, który łagodnie opada ku rzece, leżą w wygodnym zagłębieniu wśród bujnej trawy, wyżej, przy białej drodze, zostawili jego auto, wielkie przyczajone czarne zwierzę, tkwiące nieruchomo w przydrożnym pyłe. Nie dotykają się, on leży na plecach, młody mężczyzna ze złotą bransoletką śpi w letniej trawie, nagi do pasa, o dużych, bosych stopach, z rękoma pod głową, miarowo oddycha przez otwarte usta, ona leży na boku, odwrócona do niego tyłem, jakby był nieznajomym, którego co prawda zna, z którym żyje, lecz mimo to jest jej nieznany, jak nieznane i niezrozumiałe wydaje się jej życie kobiety, o której myśli. Między

nimi jest puste miejsce, między nią a tym śpiącym mężczyzną, między nią a kobietą, o której myśli. Znowu ma oczy otwarte, jej nieobecne spojrzenie wędruje między łagodnie falującymi źdźbłami trawy ku miastu, może błądzi po letnich prawie pustych ulicach. Podciągnięta wysoko lekka sukienka w kwiaty odśladania uda, a trójkąt białych fig przyciąga spojrzenie przechodzącego obok człowieka. Mija ich samotny mężczyzna, młoda kobieta otrząsa się jak zwierzę, które przeczuwa obecność innego zwierzęcia, samca błakającego się nad rzeką. Unosi głowę, widzi jego wąskie, przyczajone źrenice, wstydliwie, a zarazem ze złością obciąga sukienkę, nasuwa aż na kolana materiał w kwiaty, spogląda na zegarek, potem opiera się na łokciu i znowu zaczyna wpatrywać się w pustkę ulic. Jej wewnętrzne oczy coś widzą.

Widzą mieszkanie, puste mieszkanie, po którym dziś po południu przechadzała się tam i z powrotem, tam i z powrotem, od drzwi z hałasującą na klatce windą do okna z zasłoniętą firanką, którą odsuwała i wyglądała na ulicę. Jeszcze teraz, nad rzeką, czuje na sercu ten ciężar sprzed kilku godzin, jeszcze teraz czuje to przygnębienie, o wiele gorsze niż nieprzyjemne uczucie, które na chwilę ją ogarnęło, kiedy szybkim ruchem zakryła odsłonięte nogi przed wzrokiem przechodzącego mężczyzny, przygnębienie w obliczu czegoś, co nadciąga z nieubłaganą pewnością. Widzi tylko siebie, czuje swoje ciało, z ciężarem na sercu stoi przy oknie w pustym mieszkaniu i wygląda na ulicę, a to serce zaczyna bić szybciej na widok każdego zatrzymującego się na dole samochodu. Na górze jest cicho, z lokalu po drugiej stronie ulicy dociera jakaś monotonna melodia, kelner w białej koszuli stoi w drzwiach i ziewa rozdzierająco, nie ma zbyt wielu gości. Przy jedynym zajęтым na zewnątrz stoliku siedzi *pater familias* i ostrym nożem kroi dużą pizzę, kawałek dla dziewczynki, kawałek dla mamusi, a to, co zostanie, zje sam. Lekkimi zakosami jedzie ulicą rowerzysta, krople potu błyszczą mu na czole, wytrzeszczone oczy wypatrują drogi, przez chwilę wydaje się, że wpadnie na chodnik, pomiędzy

stoliki, ale akrobatycznym skretem wyprowadza rower z niebezpiecznej sytuacji i znika za rogiem.

W pustym mieszkaniu kobieta przykleja czoło do chłodnej szyby, jak mała dziewczynka, która została sama w domu, chucha na gładką powierzchnię szkła, ulica wygląda jak za mgłą, przeklęty szaleniec, szepcze i jeszcze raz powtarza, przeklęty szaleniec.

Przeklętego szaleńca poznała pewnego mokrego zimowego wieczoru prawie trzy lata temu. Koleżanka, z którą wymieniały się notatkami z wykładów i tamtej zimy wkuwały do ostatnich egzaminów, zaprosiła ją na wystawę znajomego malarza, prawdziwego artysty. Prawdziwego, a więc człowieka, który nie tylko wygląda jak artysta – takich znała wielu – który nie tylko żyje jak artysta, czyli sypia w dzień, a tworzy w nocy, lecz jest naprawdę artystą. Takiego nie znała. Na wernisażu też jeszcze nigdy nie była. Wyobrażała sobie jasną salę z jarzącymi się na ścianach wielkimi płótnami, w której goście, gdy skończą się już okolicznościowe przemowy, trącąc się kieliszkami szampana. Dlatego wystawa trochę ją rozczarowała. Spóźniły się na rozpoczęcie, a kiedy przyszły, w auli i na słabo oświetlonych korytarzach szkoły gastronomicznej krążyło kilku nauczycieli i znajomych malarza. Ale rozczarowaniem nie okazały się obrazy. Kobieta nie za bardzo znała się na sztuce, obrazy ją jednak zachwyciły. Na ścianach naprawdę jarzyły się duże płótna, rozpalone płaszczyzny w intensywnie żółtych i czerwonych barwach, jakby to było w głębi Istrii, czerwona ziemia, słońce, wszędzie wokoło rozżarzony krajobraz, jak wtedy, gdy jechała z rodzicami na wakacje. I nie rozczarował jej artysta. Stał oparty ramieniem o ścianę, jakby go wcale nie dotyczyło to wydarzenie i bez skrępowania obserwował nielicznych gości, którzy przystawali przed obrazami, nonszalanckim ruchem zapalał kolejne papierosy, choć w tej szkole palenie na pewno było zabronione. Oczarowały ją obrazy i od pierwszej chwili oczarował ją ich twórca. Nazywał się Milan Rak, stał obok plakatu ze swoim nazwiskiem, miał czarne

opadające na czoło włosy, czerwone usta, zupełnie takie jak czerwień na obrazach, i mroczne spojrzenie. Kiedy obrzucił ją tym spojrzeniem, poczuła dreszcz na całym ciele.

Jeszcze trochę pospacerowała wśród obrazów, choć już ich nie widziała, pozostał tylko czerwony i żółty żar, napięcie w przestrzeni. Kiedy znalazła się przy drzwiach, spostrzegła, że na nią patrzy, więc szybko wyszła na korytarz, a później w zimową noc. Przystanęła przed wejściem do szkoły, żeby skupić myśli rozproszone pod wpływem tego mrocznego spojrzenia i rozżarzonych obrazów, dzieł człowieka o mrocznym spojrzeniu. W świetle płomyczka papierosa zobaczyła nagle twarz pięknej kobiety, która, siedząc w samochodzie, płakała. Minęła auto i zniknęła w mokrej zimowej nocy lublańskich ulic, nie wiedziała, dokąd niosą ją nogi, aż w końcu znalazła się we własnym mieszkaniu. Miała buty przemoczone od rozmokłego śniegu i płonąca twarz, jeszcze nigdy nie przytrafiło jej się nic podobnego. Źle spała całą noc, spojrzenie z auli szkoły gastronomicznej wywołało gorączkę, obejmowały ją płomienie z wiszących tam obrazów, czerwień i żółć płonęły w krajobrazie Istrii, który w ognistym półśnie przesuwiał się przed jej oczami.

Zaledwie dwa dni później – płomienie przestały już buchać, ale wciąż tlił się żar – zobaczyła go znowu. Późnym popołudniem siedział przy oknie w lokalu, gdzie pracowała tej zimy. Nie był sam, lecz w towarzystwie pięknej kobiety w jego wieku, która nosiła zbyt lekkie jak na tę porę roku buty, na ustach miała ciemną szminkę, we włosach jasne pasemka i obrysowane czarnym ołówkiem oczy, to wszystko zauważyła od razu, obrzucając ją jednym spojrzeniem. Kiedy kobieta drżącymi dłońmi zapaliła papierosa, przeleciało jej przez myśl, że już gdzieś widziała ten ruch: to ona siedziała w aucie i płakała. A gdy przechodziła z tacą obok ich stolika, usłyszała, że się kłóca. Dotarły do niej głośno wypowiedziane, pełne pasji słowa mężczyzny: „To idź, kto ci broni”, kiedy więc niechcący usłyszała to zdanie, serce zaczęło jej mocniej bić, prawie tak jak na wystawie. „Niech idzie – pomyślała

– przecież nikt jej nie broni”. Ale kobieta pozostała jeszcze jakiś czas, choć nikt jej nie zatrzymywał. Za każdym razem, gdy podchodziła do baru, widziała, że artysta i kobieta, która ma zamiar odejść, coraz bardziej oddalają się od siebie, że powiększa się szczelina między nimi, jednak nie przez kłótnię, tylko przez milczenie. Siedzieli bez słowa, on znudzony palił i rozglądał się po lokalu jak wtedy na wystawie, a ona nerwowo bawiła się kluczykami od samochodu, jakby przesuwiała paciorki różańca. Kiedy w pewnej chwili szła po nowe zamówienie, zauważyła, że krzesło stoi puste, piękna kobieta ubrana w zbyt lekkie buty odeszła w zimowy wieczór, nikt jej nie zatrzymywał. Malarz nie wyglądał na zrozpaczonego, wyciągnął z kieszeni kawałek papieru i zaczął coś gryzmościć. W lokalu gasły już światła, kiwnął na nią, żeby podeszła. Powiedziała, że ona tego stolika nie obsługuje, to nie ma znaczenia, odparł, widział ją na wystawie. Jego ponure spojrzenie przenikało ją do głębi i rozpalało coś, co prawie już zgasło. Jak jej się podobały obrazy?

– Bardzo.

– To za mało – rzucił.

Dodała, że przypominały jej Istrię.

– Już lepiej – stwierdził.

Podał jej rysunek, naszkicowaną niespokojnymi ruchami postać kobiety, która stoi przed pustym kwadratem obrazu na ścianie, z tacą pełną butelek i kieliszków.

– To ty – powiedział. – Stoisz przed moim obrazem i go podziwiasz.

Wręczył jej inny kawałek papieru, była na nim kobieta, tak samo przed pustą ścianą, ale bez tacy.

– To też ty. Taca upadła na ziemię, kieliszki się rozbiły.

Na dole obrazka naprawdę były jakieś bazgroły. Nietrudno sobie wyobrazić, co się stało.

– Wypuściłaś tacę, z podziwu.

Musiała się roześmiać. Patrzyła na jego czerwone usta, też rozciągnięte w uśmiechu, pomyślała, że może poprzedniej nocy całował kobietę, która właśnie odeszła, na pewno

dobrze się stało, że to zrobiła. Tej nocy Lucija spała u niego pierwszy raz.

Wcale nie była Luciją. Pierwszej nocy, którą przespała u niego – o ile to określenie pasuje do takiej nocy – nadał jej imię, jakie w ich kraju nosi święta Łucja. Zapomnij, kim byłaś, powiedział. A kiedy w ciemny zimowy poranek zasnęli wśród zmiętych prześcieradeł, otoczeni jego obrazami, które stały oparte o wszystkie ściany niewielkiego mieszkania, i kiedy obudzili się w ponure zimowe przedpołudnie, poczuła wyraźnie, że jest naprawdę kimś innym, kimś, kto przez cały czas chodził po świecie jak ślepiec, a teraz niespodziewanie przejrzał na oczy. Masz na imię Lucija, powiedział, bo widzisz. Widzisz, czego inni nie widzą. Nikt jeszcze tak nie patrzył na moje obrazy, żaden krytyk, żaden profesor. Była wstrząśnięta, jak to możliwe, że ona, studentka technologii żywności, dziewczyna z niewielkiego miasta, gdzie nie ma żadnej galerii, nagle mówi w ten sposób o wyjątkowo zawilej sprawie, jaką jest malarstwo. Jeszcze nigdy nikt nie powiedział Milanowi Rakowi, że jego obrazy płoną jak pejzaż Istrii latem, czerwona ziemia i rozpalona kula na niebie. Mówiono o ekshibicjonistycznej estetyce, która wydobywa głębokie barwne elementy i odważnie uwalnia je z całościowego kontekstu, sam też tak opisywał własne obrazy. Nic, co w jego malarstwie zobaczyła ta kobieta, nic tak prostego i mocnego nigdy nie przyszło mu do głowy. Była pierwszą wielbicielką jego sztuki, która powiedziała, że po obejrzeniu wystawy obrazy całą noc płonęły jej przed oczami. I choć była jedyną taką osobą, Milan Rak jej uwierzył, ponieważ wierzył w swój zuchwały talent, wiedział, że odkrył coś, czego przed nim nie odkrył jeszcze nikt. Do tej pory myślał, że to, co tworzy, jest „uwalnianiem elementów z całościowego kontekstu”, teraz jednak zrozumiał, że w jego dziełach istnieje tajna więź między nim i naturą, między barwami natury i jego talentem, między nim i kosmiczną tajemnicą artysty. Tak był oczarowany tym,

co powiedziała, że dał jej na imię Lucija. A chociaż wiedział, że źródłem jego zachwyty jest przede wszystkim on sam, moc jego sztuki, która rodzi takie słowa, rano, gdy pili kawę, zaproponował, żeby przeprowadziła się do niego, bo chciałby to słyszeć wiele razy, codziennie. Lucija też była zauroczona, rzecz jasna, przecież tej nocy stała się innym człowiekiem. Jej zachwyty przygasł tylko na moment, gdy na talerzu przyniósł dwa usmażone jajka.

– To są oczy – powiedział – oczy świętej Łucji.

Nie rozumiała.

– Tak ją malują – wyjaśnił – tę świętą, z dwójgiem oczu na talerzu.

– Na talerzu?

– Na tacy. Zawsze myślę – dodał – że ktoś jej wyłupił oczy, bo widziała zbyt dużo.

– A to dopiero – odparła Lucija, która była studentką technologii żywności i wiedziała, że jajka na talerzu to tylko jajka. W żadnym razie nie mogła i nie chciała widzieć w nich wyłupionych oczu świętej Łucji. A mimo to była zachwycona: nim, sobą, nowym imieniem i całym tym artystycznym światem, w którym znalazła się tak nieoczekiwanie. Powiedziała, że jeszcze dzisiaj wypowie pokój, a pod koniec miesiąca przeprowadzi się do malarza.

– Natychmiast – polecił – zrobisz to jeszcze dzisiaj.

I tak się stało.

Później nieraz zachodziła w głowę, jak właściwie wyobrażała sobie wtedy wspólne życie z artystą. Prawdę mówiąc, wcale sobie nie wyobrażała, tylko poszła za jakimś blaskiem, który pojawił się w tych krótkich, mrocznych zimowych dniach i długich nocach, zstąpił z obrazów do mieszkania w wysokim bloku, poszła za rozżarzonymi barwami, które pierwszej nocy nie pozwoliły jej zasnąć. Za mrocznym spojrzeniem mężczyzny, który wszedł do lokalu w starej części Lublany, gdzie wtedy dorabiała na studiach. Wpatrywała się w jego czerwone usta, zanim ją pocałował, ze wszystkich

stron buchały w niebo wysokie płomienie, niczego sobie nie wyobrażała, wstąpiła w ogień i w nim płonęła. Ale byłoby lepiej, potem nieraz o tym myślała, gdyby jednak coś sobie wyobraziła, może by trochę poczekała, może nie przeprowadziłaby się jeszcze tego samego dnia na jego polecenie. Malarz był przyzwyczajony do wydawania rozkazów. Może tak było z tamtą kobietą, „idź, kto ci broni”, powiedział, zanim odeszła. Lucija rozumiała, kieruje nim jakiś wyższy nakaz, tym nakazem jest sztuka, więc on mu się podporządkowuje, nie śpi po nocach, a wieczorami, nim zacznie malować, niespokojnie błądzi po ulicach, czasem zajdzie do jakiegoś lokalu, czasem nie pracuje, bo nie może, iskra boża, która roznieca intensywne barwy, nie chce się zapalić. Jeśli on postępuje zgodnie z tym nakazem, to jego poleceniom może podporządkować się i ona. Już po około miesiącu zaproponował – i choć brzmiało jak rozkaz, było propozycją – żeby zaczęła pracować także przed południem.

– A kiedy będę studiować? – spytała przezornie.

Do tej pory całe przedpołudnia spędzała w domu, on wtedy jeszcze spał, czasem w bibliotece, z trudem przewracając kartki książek, które przestały ją już interesować. Ale była wytrwała, chciała zdać ostatnie egzaminy i zrobić dyplom. Także po to, żeby jak najszybciej pójść do pracy i pomagać malarzowi, bo jego kariera – wystawy, recenzje, nagrody i stypendia – wcale nie chciała się rozwijać. Choć powinna, i to czym prędzej, bo nie ulegało wątpliwości, że o wiele bardziej zasługuje na to niż te wszystkie miernoty, jak mawiał, i ich akademickie wytwory, które niekiedy razem oglądali na wystawach. Nigdy nie były to wernisaże, ponieważ ich nienawidził, zawsze dzień albo dwa później, chodzili wtedy od obrazu do obrazu, a Milan Rak zgrzytał zębami na widok wypocin, na widok mizerii wychwalanej przez krytyków pod niebiosą. Pewnego razu długo stał przed obrazem, który przedstawiał fioletowe linie ukośnie ciągnące się na białej powierzchni, potem odwrócił się do niego plecami i wybiegł z galerii. Późno w nocy, w porze, gdy zazwyczaj pracował,

wrócił do domu pijany jak bela, bez słowa dowlókł się do łóżka i zasnął.

– Będiesz studiować, kiedy ja stanę na nogi – odparł.

Wiedziała, że musi się to stać lada chwila, niemożliwe, żeby świat sztuki nie zauważył jego geniuszu. A więc zgodziła się na pracę też przed południem, na krótko. Nie było ciężko, bo ogień jeszcze nie wygasł, wciąż paliły się płomienie. Przez cały dzień, nosząc tace i pobrzękując drobnymi monetami, myślała o powrocie do domu. Właściciel lokalu był zadowolony, Lucija nie tylko dobrze wykonywała swoje obowiązki, ale chodziła z uśmiechem na ustach, codziennie, jasne, przecież wiedziała, że znowu wieczorem będzie mogła z nim porozmawiać i spytać: Co dzisiaj stworzy mój artysta?, a może którejś nocy będzie się z nim kochała i zaśnie, wtedy on zbudzi się w środku nocy i w drugim pokoju stanie przy sztalugach. Bywało, że późnym popołudniem przychodził do jej knajpki, siadał przy oknie, coś czytał, coś szkicował. Nie lubiła tych wizyt. Nie tylko dlatego, że unosił spojrzenie znad książki albo notesu i przypatrywał się, jak rozmawia z gośćmi, ale i dlatego, że każdego popołudnia jej artysta był w wyjątkowo kiepskiej formie. Mówił, że przeżywa kryzys egzystencji, Lucija uważała, że brzmi to ładnie, ale dobrze wiedziała i bez tego, że popołudniami wszystko idzie nie tak, czasem nawet zdarzało mu się rzucić pod jej adresem jakąś grubiańską uwagę, no i o takiej porze pożegnał się też z pewną piękną kobietą, swoją byłą kobietą, „idź – powiedział – kto ci broni”.

Chociaż Lucija wstawała rano, kiedy jeszcze spał, chociaż wracała do domu z opuchniętymi nogami, nie było jej ciężko, bo nocą wciąż jeszcze paliły się ognie, które ogarnęły ją pierwszej nocy, nie przyszło jej więc do głowy, że może dobrze byłoby wrócić do poprzedniego pustego życia sprzed zimowego wieczoru w auli szkoły gastronomicznej. Po tamtej stronie, daleko, była jakaś inna osoba, tu była Lucija.

Pewnej nocy, letniej nocy, kiedy złani potem leżeli w łóżku, powiedział, że przypomina mu bydło na Istrii. Luciję zatkało.

– Nie mogę cię takiej znieść – oświadczył.

– Jakiej?

– Takiej, krowiej.

Brakuje mu twórczego niepokoju, utknęli w tym mieszkaniu, nic się nie dzieje. Dlatego jego obrazy nie świadczą o tym, żeby się rozwijał.

– Czy nie możesz mnie, dajmy na to, zdradzić? – spytał.

Lucija milczała. Była atrakcyjną kobietą, nie tak piękną jak tamta, która odeszła, a jednak pociągającą, nie myliła się, czując na sobie spojrzenia mężczyzn, kiedy szła między stolikami w swoim lokalu, wielu z nich miało ochotę ją zagadnąć. Ale ona znajdowała się jakby po drugiej stronie, życie co prawda nie było lekkie, było jednak prawdziwe, pełne, artystyczne, nikt inny nie wchodził w grę. Dlatego osłupiała na te słowa, przyszło jej do głowy, że pewnie jest trochę załamany, bo mu się nie wiedzie.

– Nie – odparła zdecydowanie – nigdy nie mogłabym cię zdradzić.

Ale już kilka dni, a właściwie kilka nocy później powtórzył pytanie.

– Żył kiedyś pewien norweski malarz – powiedział – nazywał się Munch.

Wiedziała, o kim mówi, teraz wiedziała już wiele rzeczy, te pocałunki mężczyzn i kobiet, postaci, które na jego obrazach zlewają się w jedno, oczarowały ją, nie tak jak płonące płaszczyzny Raka, inaczej.

– Sypiał z żoną przyjaciela – wyjaśnił. – Wszyscy z nią sypiali. A ona potem opowiadała to temu przyjacielowi, też był artystą, nazywał się Przybyszewski. Cała historia działa się w Berlinie, wśród prawdziwych artystów, którzy żyli jak artyści, nie wśród miejscowych dyletantów, którzy żyją jak dyletanci.

Lucija nie potrafiła zrozumieć, czego nagle chce ten człowiek, jej artysta, jej jedyny mężczyzna.

– Chcę, żebyś się z kimś przespala – powiedział – z kimkolwiek. A potem mi opowiesz. Wszystko.

On też jej opowie, jeśli coś mu się przydarzy. Chce wolnego związku, bo nie potrafi już znieść zwykłego, nijakiego życia.

– Nigdy tego nie zrobię – oświadczyła dobitnie. – Prędej dam sobie wyłupić oczy.

– Zrobisz. Właśnie że zrobisz. I wszystko opowiesz.

Lucija już nie zasnęła tej nocy. Przestała rozumieć, co się między nimi dzieje. A potem, nad ranem, pomyślała, że przemawia przez niego rozpacz. Rozpacz wielkiego artysty, którego nikt nie rozumie. Tylko ona.

– Jesteś trochę załamany – powiedziała po kilku dniach – i tyle. Jakoś się wszystko ułoży – dodała.

Ale się nie ułożyło. Po prawie trzech latach jego obrazy wciąż wisiały na korytarzach szkoły gastronomicznej. Przez cały ten czas każdego dnia oboje byli pewni, że lada moment coś się zmieni. Ale się nie zmieniło. Było tylko coraz więcej płócien w płonących barwach, między którymi przeciskali się w mieszkaniu, coraz więcej odmownych odpowiedzi z galerii i coraz więcej sukcesów innych malarzy: wystaw, nagród, recenzji, stypendiów, lecz nie znalazła się ani jedna osoba, którą jego obrazy tak by oczarowały, jak od pierwszej chwili zachwyciły Lucję, nikt też nigdy nie powiedział, że jego kolory przypominają rozżarzoną Istrię, jak powiedziała ona. Choć zabrzmiało to niedorzecznie i dyletancko, czego nie omieszkiał wytknąć jej któregoś popołudnia w lokalu w starej części Lublany. Pewnego dnia próbował malować, a potem wstąpił do jej knajpki i tam, za barem, powiedział, że w ten sposób na obraz może patrzeć tylko krowa, która przed pyskiem widzi kępkę suchej trawy wyrastającej z czerwonej ziemi, tylko tak może widzieć i rozumieć sztukę przeżuwa-  
jące istryjskie bydlę. Do oczu napłynęły jej łzy. Uwielbiała go, dałaby dużo, żeby wyrazić się lepiej, inaczej. Podziwiała jego obrazy, a to uczucie, które ją ogarnęło, gdy pierwszy raz zobaczyła je tamtego zimowego wieczoru, nie opuściło jej nawet na chwilę. Później żadne obrazy ani kolory nie obudziły w niej podobnego uczucia, nie przypominały pejzażu, na

który wiele razy patrzyła z tylnego siedzenia samochodu... siła wspomnień z dzieciństwa i głębokie przeżycie tego, co nieznane... tak, i piękne... Tylko dlatego nie odeszła tamtego popołudnia, kiedy powinna była odejść. Rozpłakała się, mam dość, odejdę, szepnęła. „To idź – powiedział – kto ci broni”. Nie odeszła, wieczorem siedziała i patrzyła, jak maluje.

– Wybacz – odezwała się cicho – nie potrafię powiedzieć tego inaczej.

– To milcz – odparł – i połóż się spać.

Kiedy kładła się do łóżka stojącego pod ścianą za stołem obrazów, usłyszała, że otwiera drzwi.

– Nie znoszę – rzucił jakby na usprawiedliwienie – żeby ktoś patrzył mi przez ramię, gdy pracuję. W ogóle nie znoszę nikogo przy sobie.

Rozumiała to. I milczała. Czasem nocą, kiedy wracał pijany, przykrywała go kołdrą, szykowała butelki z wodą mineralną i śniadanie, a właściwie podwieczorek, żeby wieczorem był skoncentrowany i kolejnej nocy, pełen nowych sił, mógł przystąpić do walki z otaczającymi ich strasznymi barwami. Znosiła też potworny hałas, który niekiedy towarzyszył mu przy pracy, to była jakaś okropna, rytmiczna, choć pozbawiona melodii muzyka z płyt. Po kryjomu kupiła sobie zatyczki do uszu, żeby zasnąć, skoro już musiała spać. Ale to nie pomogło, muzyka była zbyt głośna, więc z ulgą przyjmowała stukanie sąsiadów w rury centralnego ogrzewania. Rósł też stos zgłoszeń sąsiadów na policję i pism z sądu w sprawie zakłócania ciszy nocnej.

Słowa o istryjskim bydle słyszała jeszcze nieraz, tak często, że czasem widziała siebie jako ciężkie zwierzę, które przeżuając, leży w promieniach palącego słońca nad mętną wodą i bezmyślnie wpatruje się w daleki pejzaż, a na horyzoncie płoną wielkie rozżarzone płaszczyzny – jego płótna wypełnione czerwienią i żółcią.

Mijał trzeci rok ich wspólnego życia, kiedy pewnego dnia poprosiła koleżankę, żeby przez godzinkę obsługiwała jej

stoliki. Chciała zrobić niezbędne w ich nocnym życiu zakupy. Na jego widok najpierw pomyślała, że to pomyłka, było wczesne popołudnie, o tej porze zwykle spał. Ale to naprawdę był on, przyszło jej do głowy, żeby podbiec i zrobić mu niespodziankę, jednak zatrzymała się w pół kroku, a jej nogi ugrzęzły w lepkim asfalcie. Poczuła w piersiach ostry ból.

Zobaczyła, że się śmieje, opuszczając księgarnię z kobietą, która powinna już dawno odejść, ale nie odeszła, szła lekko w lekkich pantoflach, pasemka jasnych włosów były jeszcze jaśniejsze niż w tamto zimowe popołudnie, z kobietą, która miała odejść na zawsze, ale teraz, uśmiechnięta, była tu, przy nim, właśnie powiedział jej coś śmiesznego... kiedy więc zobaczyła go przed księgarnią, poczuła ostry ból w piersiach, a potem jakiś ogromny ciężar pod sercem, pomyślała, że zaraz zwymiotuje to, co się w niej nagromadziło.

O jedenastej wieczorem, po powrocie z pracy, spytała, jak ma to rozumieć.

Odparł, że Lublana to nie Nowy Jork, choć i tam ludzie mogą się spotkać przypadkiem.

Powiedziała, że nie jest też Berlinem, a on Munchem.

Zniósł to zaskakująco dobrze.

– Śmiałyście się – stwierdziła.

– I co z tego?

– Ona o twoich obrazach na pewno potrafi mówić o wiele piękniej – dodała – niż było z Istrii.

Kazał jej milczeć, od dawna już ją o to prosi, niech siedzi cicho. I niech mu da kieliszek wina.

Nalała wina. Ale nie miała zamiaru milczeć.

Spytała, czy ma na myśli to... to, co jej kiedyś proponował. Jeśli tak, ma powiedzieć.

– Dobrze, kiedy ty też będziesz miała coś do powiedzenia.

Lucija nie miałaby nic do powiedzenia, nigdy, gdyby niespodziewanie nie pojawiła się tamta kobieta, o której dawno myślała, że już jej nie ma. I bez względu na tę kobietę – przecież wiedziała, jak ma na imię, ale nie potrafiła go wymówić, nigdy

– też nie miałyby nic do powiedzenia, gdyby pewnego wieczoru nie kazał jej spotkać się z tym człowiekiem. Był ciepły wieczór pod koniec lata, sobota, Lucija miała wolne. Przez całe popołudnie siedzieli w mieszkaniu, Milan Rak tym razem nie spał, wyciągał obrazy, żeby pokazać je mężczyźnie, który siedział w rozchwianym fotelu. Podczas ich rozmowy Lucija przynosiła coś do picia, czuła się raczej zbyteczna, trochę jak kelnerka, lecz mimo to cieszyła się na myśl, że w końcu ktoś interesuje się malarstwem Milana Raka. I to nie byle kto, obrazy chciał obejrzeć sam Wielki Kustosz Wielkiej Galerii, przynajmniej tak wynikało ze słów jej artysty, gdy zapowiadał jego wizytę. Mężczyzna w fotelu czasem roześmiał się krótko, ot tak sobie, jakby chciał przez to coś powiedzieć, jego śmiech nie budził sympatii, bo nie wiadomo, co miał na myśli, były to krótkie, oderwane, zgrzytliwe dźwięki, załóżmy, powiedział, załóżmy, że... i znowu się roześmiał. Czuła, że na nią patrzy, że śmiejąc się, obserwuje ją z uwagą.

A potem był późny letni wieczór, siedzieli w ogródku restauracji, butelki były puste, skończyły się tematy do rozmowy. Lucija nie pamięta, o czym wcześniej mówili, przypomina sobie, że w pewnej chwili zapadło milczenie. Przypomina sobie rzadką, poprzetykaną siwymi włosami, ciemną szczecinę na twarzy tamtego mężczyzny, jego małe oczy, które od czasu do czasu rzucały na nią, lekko oszołomioną winem, lekkie spojrzenia. Przypomina sobie, że mężczyzna odszedł na krótko od stolika i że Milan Rak, przekłęty szaleniec, powiedział wtedy:

– Zauważyłaś, jak na ciebie patrzy?

– Jak?

– Jakbyś była moim obrazem – rzucił dobrotliwie – moim dziełem... Rozumiesz? – spytał po dłuższej chwili.

Lucija rozumiała. To jest to, czego od niej oczekuje. Żeby już nie musiał żyć z istryjską krową.

– Nie zniesiesz tego – powiedziała, myśląc o kobiecie, z którą wyszedł uśmiechnięty z księgarni w tamto popołudnie, Lucija zresztą też dobrze tego nie zniosła.

Wstał i wyszedł, patrzyła za nim, myślała, że może odchodzi na zawsze, coś ją ścisnęło w gardle, myślała, że nie potrafi sprzeciwić się jego woli, że tak musi być. O tym wszystkim myślała, kiedy mężczyzna z brodą wracał do ich stolika. Lekko zamglonym spojrzeniem – od wina i łez, które napływały jej do oczu, ale nie pozwoliła im płynąć – przyglądała się, jak niezdarny i przysadzisty powoli lawiruje między stolikami, patrzyła na jego sinawe rozciągnięte w uśmiechu usta i na czarno-siwą szczecinę, a dokąd to poszedł nasz artysta, spytał i zaśmiał się krótko, nieprzyjemnie.

Potem wstali, wsiedli do auta i pojechali gdzieś na przedmieście. Przeszli przez ogród ze starannie przystrzyżoną trawą, w dużym domu pełno było dziecięcych i damskich rzeczy, wszyscy pojechali nad morze, wyjaśnił. Przespała się z nim, wiedziała, że musi zapamiętać to, co się stało, by ona, dzieło Milana Raka, o imieniu, które jej dał, potrafiła wszystko opowiedzieć, by nigdy nie była już istrijskim bydlęciem. Usłyszała dzwonek telefonu, pomyślała, że to on i że ona tego nie zniesie. Telefon ucichł, człowiek, z którym poszła do łóżka, ubierał się, spytał, czy napije się czegoś, ale zabrzmiało to tak, jakby pytał, czy zaraz sobie pójdzie. Trochę jeszcze posiedzieli w ogrodzie, było zimno, okrył ją marynarką, powiedział, że jest piękną dziewczyną, szkoda, że żyje z tym człowiekiem.

– To kompletne beztalencie – oświadczył. – Gorzej niż szarlatan.

I roześmiał się tym swoim nieprzyjemnym śmiechem, aż przeszły ją ciarki.

Lucija poczuła złość. To dlaczego całe popołudnie oglądał jego obrazy?

Ona była powodem, odparł, załóżmy, że to ona mu się podobała. I teraz też mu się podoba. Jeszcze bardziej.

– Obrazy Milana Raka – powiedziała Lucija z głębi zranionej duszy, dając jednocześnie upust swemu niewzruszonemu przekonaniu – są genialne. Płoną w nich kolory. Kiedy na nie patrzy, czuje potęgę światła, jaką czuła tylko

raz, w dzieciństwie, gdy z rodzicami jechała przez Istrię. Czerwona istryjska ziemia, spalona promieniami żółtej kuli tkwiącej na niebie od prawieku, to ta cecha jego malarstwa, która każdego musi poruszyć. Żar przenika w głąb ciała, a barwy rozlewają się w wewnętrznych oczach widza.

Mówiła długo i impulsywnie. Sama nie wiedziała, skąd się w niej biorą te słowa, ta kula, która tkwi na niebie od prawieku, palące barwy w wewnętrznych oczach, tego jeszcze nigdy nie mówiła, brzmiało przekonująco, bo było autentyczne i miało źródło w prawdziwym bólu.

Patrzył na nią z wyrazem zaskoczenia i jednocześnie z ciekawością, małe oczy zaczęły niespokojnie tańczyć.

– Interesujące – powiedział Wielki Kustosz, przechadzając się po przyszytych trawie. – Będę musiał obejrzyć je jeszcze raz – rzucił i zaśmiał się krótko.

– Niech pan tak zrobi, bo nic pan nie widział – stwierdziła zdecydowanie. – Zobaczysz – poprawiła się, przecież głupio po tym, co się stało, mówić mu pan – przekonasz się, że mam rację.

Znowu się roześmiał, powiedział, że człowiek, który ogląda zbyt wiele obrazów, czasem naprawdę czegoś nie widzi.

– Mogę cię odwiedzić? – spytał po dłuższej chwili milczenia i podziwu dla własnej myśli. – Trochę wypilem, ale dam radę.

Nie pił mało, a mimo to dał radę, zostawił ją pod blokiem. Wysiadając z samochodu, zobaczyła, że w oknach ich mieszkania pali się światło.

A potem naprawdę nie potrafił tego znieść. Ale Lucija rozumiała to, ona też by nie zniosła. Bo przecież sama nie potrafiła być wyrozumiała dla tamtej kobiety z poprzedniego życia, która powinna znaleźć się po drugiej stronie, tak jak i jej poprzednie życie, gdy jeszcze nie była Luciją, powinno znaleźć się po drugiej stronie wszystkiego, co istniało między nią a przeklętym szaleńcem. Jej artysta, tak czasem